PONIEDZIAŁEK 25 KWIETNIA 1938 ROKU Nr. 32

MÓJ ŚWIATEK

Tygodniowy dodatek „Kurjera Zachodniego" dla młodzieży



PO ZALICZENIU BŁOGOSŁAWIONEGO ANDRZEJA BOBOLI DO GRONA ŚWIĘTYCH

Św. Andrzej Bobola, męczennik polski (w środku), oraz kanonizowani równocześnie ze św. Bobolą podczas Świąt Wielkanocnych: św. Leonardi i św. da Horta.

ALBOŻ JA NIE ZUCH?...

Słota, mróz, czy żar dopieka,
ja nie płaczę, nie narzekam
Alboż ja nie zuch z gromady,
żebym sobie nie dał rady?
Więc, choć śniegiem świat zawiany,
mknę do szkoły codzień z rana.
Na jesieni było gorzej:
deszcz zacinał, wiatr się srożył.
Teraz, kiedy mróz zbyt ściska,
Myślę sobie: — Wiosna blisko!

Któż potrafi przy tej wiośnie
nie uśmiechnąć się radośnie,
gdy nad gajem i nad łąką
śmiać się będzie jasne słonko,
gdy na lata powitanie
świat okryje się kwiatami?
A gdy słońce zbyt przypiecze,
to pomyślę: — Wielkie rzeczy!
Alboż ja nie zuch z gromady,
żebym sobie nie dał rady?

„DAR POMORZA"

Uderzył dzwon zwiastując zmianę wachty. Jacek opuścił zajmowane stanowisko, ale zamiast udać się do kajuty stanął przy burcie chcąc odetchnąć nieco po całodziennym trudzie. W twarz zaciął mroźny wiatr. Nad głową śpiewały liny i niby skrzydła olbrzymich ptaków trzepotały napięte żagle. Zapadał zmierzch. Na ciemnym niebie nie było ani jednej gwiazdy. Morze burzyło się niespokojnie waląc z hukiem w rufę „Daru Pomorza", płynącego pełną parą pod wiatr. Statek kołysał się i drżał febrycznie. W dali została piękna, gościnna Jokohama. Jeszcze od czasu do czasu migotały w mroku drobne światełka.

Jacek zadumał się. Już sześć miesięcy minęło od czasu wypazdu Szkoły Morskiej na pokładzie „Daru Pomorza" z Gdyni, a czas ten mignął jak jedna chwila. Dzień każdy przynosił coraz to więcej niezwykłych wrażeń. Przed oczyma niby zachwycająca wstęga filmowa przesuwały się cudowne piękne i przedziwne kraje. Zielone, pióropuszami palm najeżone wyspy, gorące, słoneczne lądy, urwiste skały, spienione, huczące wodospady, olbrzymie lasy i lazurowe wody. Z Santa Cruz. rozsiadłego na Wyspach Kanaryjskich, zawinęli do portu Mindello na Wyspie św. Wincentego, a stąd popłynęli w stronę Martyniki, Wysp Hawajskich i Jokohamy, wszędzie witani nie tylko gościnnie, ale i niezwykle serdecznie. Biało - czerwona bandera po raz pierwszy w dziejach zjawiała się w dalekich zakątkach zamorskich mówiąc o Polsce daleko więcej niż wszystkie dzienniki świata. A „Dar Pomorza", biały szkolny żaglowiec, budził powszechny podziw nawet wśród „wilków morskich". Specjalnie po rycersku przyjmowali Szkołę Morską Japończycy. Na rozkaz władz wojskowych urządzono dla Polaków manewry krążowników, pokazano im samurajskich domach i na pokładzie skarby muzeów i okręt admirała Togo, goszczono w najzamożniejszych statku szkolnego „Nippon Maru".

W uszach Jacka razem z rykiem wichru brzmiały słowa wypowiedziane przez kogoś z żegnających „Dar Pomorza" w Gdyni: „Za chwilę wyruszycie w daleki świat pod biało - czerwoną banderą. Pamiętajcie, że statek wasz — to pływająca Ojczyzna, to część Polski!... Kochajcie więc „Dar Pomorza" jak ziemię ro-



dzinną, gdyż pokład, na którym teraz stoicie, to szmat naszego drogiego kraju. Czynem swym i postawą godnie reprezentujcie Polskę na szerokim świecie budząc cześć i podziw dla biało - czerwonej bandery!".

Słowa te wstrząsnęły Jackiem do głębi. W tej uroczystej chwili, kiedy stał wyprężony na „baczność" na lśniącym pokładzie statku szkolnego, przyrzekł sobie w duszy, że nie zawiedzie pokładanych w nim nadziei, lecz jako uczeń Szkoły Morskiej uczyni wszystko, by stać się wzorem marynarza polskiego. Orkiestra zagrała Hymn Narodowy. Statek drgnął, jakby zbudzony ze snu. Z łodzi i holowników wykwitły śnieżne chusty wiejąc na znak pożegnania. Huczały maszyny i szumiało morze. A ponad wszystkim trzepotały się ludzkie okrzyki:

— Wracajcie zdrowi! Niech żyje „Dar Pomorza"! Pozdrówcie tam od nas rodaków na obczyźnie!

Aż znikło wszystko: ludzie, domy, holowniki i łodzie, a zostało tylko morze. Ciemnosine, pofałdowane i tajemnicze, wabiące młodych żeglarzy swą nieskończonością. Teraz stał przed nimi szeroko otwarty, nieznany świat.

Od tego dnia Jacek rzucił się w wir ciężkiej pracy. A było jej w bród. Choćby samo poznanie „Daru Pomorza" nastręczało niemałe trudności. „Dar Pomorza" posiadał bowiem blisko 300 lin, a każda z nich miała inną nazwę, nie mówiąc już o budowie kadłuba, żagli i innych części. Prawdziwą zaś sztuką było stawianie i zwijanie żagli. Potrzebna była tutaj zimna krew i bezwzględne opanowanie. Poza zajęciami praktycznymi znalazł się czas i na teorię. Chłopcy uczyli się zawzięcie języka angielskiego. Ale najwięcej wysiłku wymagało porządkowanie statku, bo wiadomo, że żaglowiec musiał świecić z dala olśniewającą czystością!

Jacek drgnął. W twarz jego wychyloną za burtę bryznęła morska

piana. Spojrzał przed siebie w czarną, bezgwiezdną noc. Zanosiło się na burzę. Statek całą parą płynął pod wiatr, ale zdawało się, że stoi w miejscu. W olinowaniu słychać było przeciągły jęk. Jęk ten wzmagał się z minuty na minutę.

— Trzeba iść spać — szepnął Jacek do siebie czując wzrastające zmęczenie.

Zaledwie jednak zasnął w swej kajucie, zbudziły go sygnały alarmowe. Za ścianą darł się gwizdek oficera służbowego, walił dzwon i tupotały liczne stopy.

— Statek w niebezpieczeństwie! — pomyślał Jacek zrywając się z koi.

Zląkł się, ale lęk ten pochodził nie z obawy o własne życie, lecz z niepokoju o los statku, wyprawiającego wśród fal najdziwniejsze łamańce. Wydało mu się, że to groźny wróg wtargnął znienacka w granice kraju paląc i łupiąc wszystko, co stało na drodze. Trzeba więc odeprzeć go za wszelką cenę! Czyż nie słyszał w chwili odjazdu z Gdyni, że „Dar Pomorza" to „pływająca Ojczyzna?". Jednym skokiem wypadł z kajuty.

Zatoczył się i omal nie runął, uderzony potężnym skrzydłem wichru. Tajfun! Po omacku znalazł się na stanowisku. Właśnie stawiano nowy żagiel (na miejsce porwanego przez burzę). Dzielni chłopcy, uczniowie Szkoły Morskiej, nie bacząc na niebezpieczeństwo uwijali się zanurzeni po kolana w wodzie zalewającej pokład. Jacek pracował razem z innymi. Drżał na myśl, co to będzie, jeśli „Dar Pomorza" nie wytrzyma naporu rozszalałej wichury i pójdzie na dno. Nic to, że zginą on i jego towarzysze, najgorsze było to, że Polska stanie się przez to mniejsza! Wszak to zatonie część Ojczyzny!

Przez burtę wdarł się na pokład nowy strumień wody. Było tak ciemno, że ludzie poznawali się dopiero przy zetknięciu. Część statku oświetlały reflektory. W ryk burzy wdzierał się ostry, przeszywający głos gwizdków i grzmot megafonu. Statek raz po raz wpadał w głębokie wodne przepaście, to znów wydostawszy się z czarnej kipieli wspinał się jak spłoszony źrebiec po spiętrzonych falach. Upadał na bok i zdawał się dogorywał, by za chwilę wyprostować się i dumnie pomknąć naprzód. Ludzie przy pomocy lin posuwali się po pokładzie. Fala groziła zmyciem, trzeba się więc było zabezpieczyć.

Z czarnych, nisko nawisłych chmur lunął deszcz. Szum ulewy zmieszał się z rykiem szalejącego tajfunu. To się z rykiem szalejącego tajfunu. tację. Wicher walił łbem w żagle.

W ciemnościach pada rozkaz:

— Trzeba postawić nowy żagiel. Pójdzie bosman. Kto z nim na ochotnika?! Zadanie jest niebezpieczne.

Wyciągają się ręce. Wszyscy. Ale pierwszeństwo ma Jacek Drozd! Z dumą przystępuje do pracy. Wraz z bosmanem są przywiązani do liny stalowej podtrzymującej maszt od przodu. Wali w nich niemiłosiernie tajfun. Zatyka oddech. Ręce grabieją z zimna, a twarze pokrywają się warstwą soli. Gdyby nie lina, Jacek runąłby z pewnością na pokład. Bosman daje mu jakieś znaki, bo głosu jego nie słychać w tym piekle. Jacek rozumie wszystko. Zaciska zęby i pracuje sprawnie jak automat. Choćby miał zginąć — zrobi swoje. Przecież w jego ręce złożono teraz losy statku, tej „pływającej Ojczyzny"!

Ale i inni nie spoczywają. Każdy z uczniów Szkoły Morskiej ma do spełnienia jakieś mniejsze lub większe zadanie. I spełnia je nie tylko su-

miennie, lecz z całym poświęceniem. Toteż nad ranem postawiono już nowy żagiel i zabezpieczono statek przed naporem fal sącząc za burtę oliwę. Szturm morza nieco maleje, chociaż grzywy wzburzonego oceanu sięgają jeszcze do ośmiu metrów wysokości. Niebezpieczeństwo jednak minęło. Westchnienie ulgi wydziera się z kilkudziesięciu młodych piersi. Wszak zwyciężyli groźnego wroga, co pod osłoną nocy zaatakował znienacka ich „pływającą Ojczyznę"! Mają więc prawo nie tylko do wypoczynku, ale i dumy!

„Dar Pomorza" oparł się burzy i przybył do Gdyni po wielomiesięcznej podróży.

W ciągu roku biało - czerwona bandera opasała kulę ziemską zanosząc do najodleglejszych zakątków świata pozdrowienia od Polski odrodzonej, wielkiej i nieśmiertelnej! I jak tu się nie cieszyć, jak nie czuć dumy rozpierającej piersi? . . . . . .

SKAZANIEC MILIONEREM

— Tak... Znalazłem kamień, który mnie zainteresował. Ale pomyliłem się. Zwyczajny kamień. Przypuszczałem, że może w nim jest złoto.

Brzmiało to tak nieprawdopodobnie, pomimo, że Fred silił się na swobodny ton, iż Dyck nagle zrozumiał, że w życiu na wyspie stało się coś nowego, nieprawdopodobnego.

Chwilę milczał, a potem rzekł:

— Przyszedłem do przekonania, że miałeś rację. Nie mamy poco tu siedzieć. Od jutra zaczniemy gromadzić zapasy i...

Fred zaniepokoił się.

— I wypłyniemy w najbliższym czasie, chociażby za trzy dni — dokończył.

Fred był tak zaskoczony tym oświadczeniem, że nie wiedział na razie, co odpowiedzieć. Sam przecież nalegał na odjazd, więc było by to podejrzane, gdyby obecnie się temu sprzeciwił.

Zaczerwienił się tylko z wściekłości i po dłuższym milczeniu wykrztusił dziwnie stłumionym głosem.

— Dobrze. Jak chcesz. Ale sam pomów z Martą. Ty to lepiej potrafisz — dorzucił ostatnie słowa bardziej spokojnym i pojednawczym tonem. — Ale nie nalegaj zbytnio, jeżeli się będzie sprzeciwiała. Mamy dość czasu.

— Doskonale. Na razie musimy opatrzyć łódź.

— Łódź jest w porządku. Sprawdziłem już — rzekł pośpiesznie Fred.

Denerwowała go sama myśl, że Dyck może się znaleźć niedaleko ukrytej tajemniczej laguny.

Rozmawiali jeszcze chwilę, po czym udali się na spoczynek. Gdy Dyck usnął, Fred wypełzł znów z szałasu i udał się na brzeg laguny. Ogarnęła go gorączkowa, rozpaczliwa myśl, co czynić, by pozostać jeszcze chociaż z 10 dni.

Żądza zagarnięcia jak najwięcej pereł rozpaliła się w nim z taką siłą, że po prostu mąciła mu zmysły.

— Wyspa jest moja, jestem bogaczem, mam prawo pozostać — szeptał do siebie. — Jakim prawem ci nędzarze narzucają mi swoją wolę...

Zaciskał pięści z zaciętą mściwością, ale żaden pomysł nie przyszedł mu do głowy.

7. TRAGICZNA NOC NA WYSPIE

Fred łudził się jeszcze nadzieją, że Marta nie zechce jechać. Jak głupio postąpił podsuwając im projekt podróży! Lecz czy

mógł przypuszczać, że stanie się tak bogatym, iż marny okup, uzyskany od rodziny Marty, przestanie mieć dla niego znaczenie.

Zastanawiał się nad dalszym połowem pereł. Znajdowały się o wiele głębiej i wymagały większego trudu.

Tymczasem musiał pomagać w gromadzeniu zapasów w łodzi. Następne dwa dni były dla niego męką prawdziwą. Nie jadł przestał spać, zmizerniał, tylko oczy gorzały mu niezwykłym płomieniem. A gdy się dowiedział od Dycka, że Marta zgodziła się, by wyruszyć w podróż następnego dnia — przez chwilę przestał oddychać. Zbladł i spojrzał złowrogo na Dycka. Miał wrażenie, że wali się na niego cały misternie ułożony gmach kłamstwa i podstępu.

Przez chwilę był bliski wyjawienia tajemnicy, ale chciwość zamknęła mu usta.

Poco mam mu dawać połowę zdobyczy, jeżeli można nic nie dać. Może rzeczywiście lepiej odjechać stąd i powrócić samemu po zdobycz?

Dyck obserwował go ze zdziwieniem, nie mogąc pojąć przyczyny wściekłości.

— Nie mogę zrozumieć — wybuchnął Fred — poco ten pośpiech i dlaczego w ogóle oboje decydujecie o wszystkim beze mnie, jakbym tu nic nie znaczył. Brudny, nieokrzesany palacz! A co byś tak powiedział, gdybyś się dowiedział, że mógłbym...

Urwał nagle. Tajemnica dławiła go, ale za żadną cenę nie chciał jej wyjawić. Dokończył więc w myśli — „wyłożyć tyle tysięcy, ile sam zechce“.

(C. d. n.).

MIŁOŚĆ ZWIERZĄT

Wszyscy wiemy doskonale, jak bardzo kochają nas nasi rodzice, jak troszczą się o nasze zdrowie powodzenie w szkole, zabawy i przyjemności, ale rzadko kto z nas pomyśli o tatusiach, przyjaciołach i mamusiach nie z naszego świata ludzi, ale z tego drugiego, tak blisko obok nas żyjącego: o zwierzętach. Opowiem wam o tym kilka ciekawych historyjek.

W pewnym cyrku występowała słonica ze swym synkiem. Właściciel postanowił zostawić sobie matkę, a małego słonia sprzedać do innego miasta. gdzie również miał pokazywać rozmaite sztuki. Zabrano więc w nocy słonika od starej słonicy, a gdy obudziła się z rana, była już w klatce sama. Przez kilka godzin szukała po kątach swego dziecka, żałośnie ryczała, odmawiała przyjmowania pokarmu, zwiesiła trąbę i wcale nie chciała wyjść na arenę, gdzie mnóstwo publiczności czekało na zwykłe zabawne sztuczki ulubionej „Magdy“. Nazajutrz było jeszcze gorzej słonica trąbiła głośno, wzywając swe dziecko, a małe jej oczy pełne były rozpaczy. Nie dawała nikomu podejść do siebie i trąbą przewróciła nawet ulubionego swego Martina, który się nią zazwyczaj opiekował. W obawie, że biedaczka zdechnie, sprowadzono małego słonia z powrotem i wówczas cały cyrk był świadkiem niezwykłej radości poczciwego stworzenia. Słonica szalała ze szczęścia: trącała odzyskane dziecko wielką swą głową, głaskała je trąbą, trąbiła na wiwat i wreszcie położyła się na słoniku. Byłaby go udusiła, gdyby dozorcy nie udało się odciągnąć małego na bok. Od tej chwili matka co noc kładła się tuż przy synku, jakby pilnując, aby jej znowu go nie odebrali.

Do znanej menażerii w Wiedniu przyjechała trupa cyrkowa i rozłożyła się obozem. Ponieważ jednak mało jej przydzielono miejsca, niektóre zwierzęta trzeba było pomieścić razem i przyzwyczaić je nawzajem do siebie. W jednej z klatek mieszkał wspaniały lew afrykański Książę, któremu dano za towarzyszkę Gibsę, piękną pumę srebrzysto - czarną. Książę nie zgadzał się dotąd z żadnym zwierzęciem, toteż dla pewności wstawiono pomiędzy niego a jego sąsiadkę mocne drewniane przepierzenie, aby uniemożliwić lwu zbliżenie się do pumy. Dozorcy zauważyli jednak, że Gibsa wciąż zagląda przez szczeliny w przegrodzie do klatki Księcia, mruczy, miauczy i drapie pazurami w drewno, jakby się chciała do niego dostać. Po kilku dniach lew ze swej strony zaczął jej odpowiadać, również trzymał się w pobliżu dzielącej ich ściany, pomrukiwał, wąchał, węszył i tak się zachowywał, jak gdyby odpowiadał na jakieś pytania zza przegrody. Aż pewnego dnia znaleziono pumę śpiącą między groźnie wyciągniętymi łapami lwa; zwierzęta przewróciły ścianę i połączyły się, a z biegiem czasu przyjaźń ich stała się wzruszająca. Puma tyranizowała lwa, zabierała mu co najlepsze kąski, targała za grzywę, on zaś na wszystko jej pozwalał. Gdy do klatki zbliżali się dozorcy Książę ryczał gniewnie i zakrywał sobą małą przyjaciółkę. Pewnego dnia chłopiec przyglądający się zwierzętom, wrzucił do klatki jakiś przedmiot, który puma zaraz schwyciła w paszczę i zaczęła się dławić. Natychmiast przyniesiono żelazne widły, aby obezwładnić lwa, dostać się do Gibsy i odebrać jej „jabłko“, jak z płaczem zeznał winowajca. Ale nic nie pomogło i lew nie dał się do pumy zbliżyć, toteż w dwie godziny później biedaczka leżała martwa między jego łapami.

Żadne środki nie wpływały na rozpacz wiernego zwierzęcia: nie pocieszył się nawet nową pumą, którą mu dano za towarzyszkę i trzeba było śliczne stworzenie czym prędzej z klatki usunąć, aby jej nie rozerwał. Biedny lew szalał z tęsknoty za przyjaciółką i dopiero przewiezienie go do innego miasta i do innej klatki trochę go uspokoiło: Książę pomału zapomniał o swym bólu, ale przez całe życie nie chciał więcej mieć towarzysza w swej przegrodzie.

Państwo M. mieli dwie suczki, obydwie kundelki, ale bardzo miłe. Kochali je bardzo. Jedna była biała i miała czarne łaty na plecach i oczach, druga pyszniła się śliczną gładką czarną sierścią, ale na nóżkach miała białe skarpetki. Pewnego dnia łe z czarnym i czarne z białym — robiała powiła sześcioro szczeniąt: biazmaite. Państwo M. umieścili całą rodzinę w koszyku, który ustawiono w przedpokoju. W kilka dni później czarna suczka również została matką; szczeniątka były także rozmaite: czarno-białe i biało- czarne. Państwo M. przygotowali im drugi koszyk i postawili go w tymże przedpokoju. Jak dotąd obydwie suczki zgadzały się ze sobą, bawiły się razem, wspólnie chodziły na spacery itd., ale od czasu przyjścia na świat dzieci zaczęła się wojna. Oto nieszczęście chciało, że jedno z dzieci suczki białej, widocznie słabsze, zdechło, gdy matka była w kuchni i jadła obiad. Po powrocie do koszyka Ciapcia od razu zobaczyła, że brak jednego synka, bo pp. M. usunęli nieżywe stworzonko. Obwąchawszy wszystkie po kolei poszła prosto do cudzego kosz-

ka, wybrała sobie dziecko obcej matki, najbardziej podobne do jej własnego, i przeciągnęła je za kark na swoje legowisko. Po powrocie czarnej suki zaczęła się rozpacz: Kama biegała w kółko, węszyła, szukała, wreszcie zbliżyła się do Ciapci, siedzącej jak gdyby nigdy nic na swoim koszyku. Ale spotkało ją groźne warknięcie. Stanęła więc zdumiona: wydało się jej to podejrzane. Zaczęła węszyć i z nosem tuż przy ziemi wywąchała swoje dziecko u obcej suki! Taka szkaradna złodziejka! żeby zabrać cudzego synka...

Kama ochoczo ruszyła do ataku, zębami i łapami zmusiła Ciapcię do opuszczenia koszyka, schwyciła w zęby swe ukradzione dziecko, i zabrała je do siebie. Ale nazajutrz wszystko powtórzyło się od początku. Ciapcia sądziła według sierści, że mały Bzik jest jej własnym synkiem i znowu go ukradła, a Kama natychmiast go odebrała. I byłoby się to ciągnęło Bóg wie jak długo, gdyby wreszcie nie przeniesiono Ciapci wraz z jej dziećmi na wieś, a Kama mogła się odtąd spokojnie cieszyć wszystkimi swymi pociechami.

Rozrywki umysłowe

ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z POPRZEDNIEGO N-RU „MOJEGO ŚWIATKA“: **wiśnia, tramwaj, Anna Jagiellonka, Bolesław Chrobry.**

NAGRODY OTRZYMALI: Mirosław Cudzik z Sosnowca, Katarzyna Zakrzewska, Fela - Laleczka i Wiktor Koźmiński.

ZADANIE

Bawiliście się na pewno w zabawę tworzenia z liter jednego słowa wielu innych słów. Bierze się np. słowo „wtorek“ i tworzy się z niego inne np. tor, worek, kot, kret i t.p. ile komu wystarczy czasu i cierpliwości. Kto chce niech z liter, składających się na nazwę „Polskie Radio“ wymyśli jak najwięcej innych słów (rzeczowników).

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA

Z następujących sylab ułożyć 6 wyrazów których początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą nazwę ptaka domowego.

Sylaby: ko zo ka ku a kie za a rek sia ra cu nioł fry.

Znaczenie wyrazów: 1) Zwierzę domowe. 2) Duch dobry. 3) Łakotki. 4) Imię żeńskie. 5) Ptak domowy. 6) Część świata.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA

Z następujących sylab ułożyć 11 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko króla polskiego.

Sylaby: so o ja sum et zja rew wa ha i i na na a dwi na kra re rrn kacz ga ka dra

Znaczenie wyrazów: 1) Imię żeńskie. 2) Część świata. 3) Rzeka w Polsce. 4) Ptak nocny. 5) Choroba 6) Zwierzę domowe. 7) Jajka rybie. 8) Wulkan. 9) Ryba. 10) Ptak domowy. 11) Imię żeńskie.

Nastrój świąteczny nie sprzyjał widocznie do pisania korespondencji. Z obfitej poczty nie zdołałem „wyłowić“ nic godnego zanotowania. „Naszą pogadankę“ zatym odkładamy do następnego „Światka“.

MIŁY JURECZEK

Dziesięcioletni Jureczek zdobył skądś dzieło „Zasady wychowania“ i zabrał się z powagą do czytania.

— Jureczku — woła matka — co ci przyszło do głowy czytać takie dzieło?

— Chcę się przekonać, czy mnie rodzice dobrze chowają.